

Henryk Kozłowski

## Wspomnienia z Akcji „Wilanów”

### Cz. I

Latem 1943 roku grupa harcerzy ćwicząca w lasach kabackich zamordowana została podstępnie przez kolonistów niemieckich. Zmęczonych chłopców zaskoczono podczas odpoczynku w jednym z domostw osady-kolonii, położonej nad brzegiem Wilanówki między Kępą Latoszkową a Kępą Zawadowską w pobliżu Wilanowa, skatowano ich w czasie zaimprovizowanego tam śledztwa, a następnie rozstrzelano.

Wyrokiem Sądu Polski Podziemnej koloniści niemieccy i zdrajcy-Polacy biorący udział w tej zbrodni skazani zostali na karę śmierci. Wyrok powierzono do wykonania grupie „Osjan” (Oddział Specjalny Jana) z Kedywu (Kierownictwo Dywersji) Komendy Głównej Armii Krajowej, dowodzonej przez kpt. Jana, późniejszego dowódcę oddziału „Broda 53”. Rozpoznanie terenu osady przeprowadzały kobiety o oddziale „Dysk” (Dywersja Kobieta) Kedywu KG AK – Renia i Ali-Baba.

Akcja likwidacyjna przeprowadzona została ostatecznie 26 września 1943 r. bez żadnych strat własnych. Prawie wszystkich zbrodniarzy zastrzelono a ich zabudowania spalono.

Równocześnie żołnierze z batalionu „Zośka” pod dowództwem harcmistrza por. Giewonta przeprowadzili akcję odciążającą w Wilanowie, która miała na celu związanie walką stacjonujących tam placówek niemieckich, a tym samym umożliwienie grupie „Osjan” wykonania bez przeszkód głównego zadania.

Komunikat nr 15 Kierownictwa Walki Podziemnej z 1.X.1943

*Niemieccy koloniści, mieszkańcy wsi Kępa Latoszeńska przy współudziale polskiej rodziny Wójcików schwytali kilku młodych Polaków i pastwiąc się nad nimi wydali ich w ręce żandarmów z posterunku w Wilanowie, którzy również znęcali się nad schwytanymi. W odwet za to dnia 26.IX. o godz. 22 oddział Sił Zbrojnych w Kraju spalił kilka zagród niemieckich w Kępie Latoszeńskiej, zabił 9 kolonistów niemieckich i co najmniej 7 żandarmów z posterunku w Wilanowie oraz rozstrzelał 3 mężczyzn z rodziny Wójcików.*

Zarówno po tej akcji, jak i po likwidacji na szosie w Powsinie przez miejscowe oddziały AK jednego z bestialskich dowódców posterunku żandarmerii, współodpowiedzialnego i za tamtą zbrodnię, nie zastosowana żadnych represji wobec ludności polskiej. Pozostali koloniści niemieccy interweniowali bowiem osobiście i powstrzymali zamierzone represje zastraszeni losem swych poprzedników.

## Odprawa

Tapczan, krzesła i inne możliwe meble w małym pokoiku Pirata przy ulicy Złotej obsiadło kilkunastu chłopców. Ścisk był niesamowity.

- Zadaniem naszym jest zaatakowanie grupy lotników stacjonujących w lewym skrzydle pałacu. Siły n-pla według dotychczasowego rozpoznania nie przekraczają jednego plutonu. Hasło do natarcia – wysadzenie słupów telefonicznych. Równocześnie z nami „Sad” atakować będzie „streifę”, a „Alek” i inni żandarmerię oraz posterunek policji. Resztę szczegółów podam tuż przed wyruszeniem. Obecnie zapoznam was dokładnie z naszym planem.

Antek – były drużynowy jednej z warszawskich drużyn - rozłożył na stole duży szkic i wodząc po nim ołówkiem rozpoczął szczegółowo omawiać zadanie.

- Atakujemy całą grupą zostawiając jedynie dwóch na wewnętrznym ubezpieczeniu od strony mostku. Na ubezpieczenie wyznaczam Zagłobę i Wojdaka. Rysiek Wojdak był z tego wyraźnie niezadowolony, próbował oponować, ale rozkaz był nieodwołalny. Zresztą w tej pierwszej dla niego poważnej akcji zgodziłby się w ostateczności być gdziekolwiek, byleby brać tylko udział i móc wykazać swe walory. Zawsze po każdym wypadku wiele było rozgoryczenia i zawiedzionych nadziei u tych, którzy z różnych przyczyn udziału w nim wziąć nie mogli. Antek wiedział o tym doskonale, bo i w jego sercu wciąż tkwił bolesny cień z akcji pod Arsenalem. Nie dopuszczono go, mimo iż głębokie koleżeństwo z Rudym zdawało się być dostateczną rękojmią udziału Antka w odbiciu na Długiej. Mimo konspiracji „poszkodowani” wcześniej czy później dowiadywali się zwykle o udziale w akcji ich najbliższych kolegów.

- Rozporządzamy dwoma stenami, które przydzielam Piratowi i Stefanowi. Reszta otrzyma po dwa pistolety i granaty – powiedział Antek, rozkładając broń na łóżku. Pistolety były najrozmaitsze: mały, zgrabny Walter, ciężki, oksydowany vis, parabellum z cienką i długą jak żądło lufą, stary Hiszpan, przedwojenny policyjny bęben, parę zrzutowych, płaskich coltów, oraz przedmiot dumy Skalskiego, Misia i Strzegonia – nowiutki Steyer i parabellum zdobyte ostatnio na werkschutzach.

Zagłoba siedział właśnie na łóżku i oglądał ciekawie przydzieloną parabelkę. Antoś kończył omawiać ostatnie szczegóły. Naraz huknęło coś w pokoiku tak, że aż zadzwoniło w uszach, a swąd prochu rozszedł się po maleńkiej izdebce. To Zagłoba nieotrząskany z bronią, majdrując coś przy pistolecie – odpalił. Pocisk cudownym zbiegiem okoliczności przeszedł tuż koło ucha siedzącego naprzeciw Pirata, przebił cienką, drewnianą ściankę działową i utkwiał gdzieś między garnkami przyległej kuchni. Pierwszy strzał w akcji „W” padł o parę godzin za wcześniej.

W dwie godziny później chłopcy ponownie zebrali się w tymże lokalu, by pozostawić dokumenty i zabrać broń. Na rozkaz Antka sprawdzono wzajemnie wszystkie kieszenie, usuwając zbędne szpargały, zapiski czy zdjęcia. Parę minut po godzinie 19 parami, w odstępach parominutowych chłopcy poczęli opuszczać mieszkanie. Brakowało jeszcze Zagłoby, który dwie godziny temu brał jednak udział w odprawie. Miesiąc temu również w ostatniej chwili wycofał się z akcji Sieczychy, ponieważ jak się później usprawiedliwił – ktoś z najbliższej rodziny ciężko mu zachorował. Widocznie wyjątkowo chorowita musiała być jego rodzina, skoro znów się nie zjawił. Nikt naturalnie nie czekał już na niego i chłopcy lekko podnieceni, skupieni, ale weseli, ruszyli w kierunku przystanku tramwajowego. Zaczęła się koncentracja.

### Koncentracja

Czterech chłopców – Farys, Jur, Żereń, Dzik ubranych, jak na wycieczkę, po sportowemu w wiatrówkach, sadziło długimi krokami ul. Bagatela w stronę Belwederu beztrosko gawędząc ze sobą i chrupiąc smakowite jabłka. Raz po raz rozlegały się salwy śmiechu, tłumione nowym kęsem znakomitych owoców. Dochodzili już do Alei Ujazdowskich, kiedy minął ich wolno sunący odkryty wóz z kilkoma żandarmami i zakręcił w stronę Wilanowa.

- Popatrzcie ! – zawołał jeden. – Cztery zero dla nas !

Wszyscy parsknęli śmiechem. Widocznie żandarmom nie podobał się ten nagły objaw radości. Samochód gwałtownie przyhamował a patrol, wyszarpując pistolety z kabur, wyskoczył na chodnik.

- Halt ! Hande hoch !

Chłopcy stanęli. Posłusznie, ale nonszalancko podnieśli ręce. Zaczęła się rewizja. Żandarmi poczęli wyciągać im z kieszeni dokumenty, jakieś druty, szczotki, rzemyki. Farys nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Trzymając obie ręce nad głową co chwila opuszczał jedną, gryzł kęs jabłka, po czym znów podnosił do góry. Dowódca patrolu zebrał wreszcie wszystkie papiery. Przerzucając je dość bezradnie jedną ręką, albowiem druga kurczowo ścisnęła pistolet, zapytał:

- Wo arbeitest du ?

Jur nie bardzo już pamiętał, który komplet dokumentów wziął dziś ze sobą. Zerknął dość zrećźnie w otwartą legitymację i łamaną niemiecką począł im tłumaczyć, gdzie pracuje i że właśnie zaniemogła ciężko ich stara ciotka. Jadą więc do Buchnika, do ciotki, reperować światło. Bo jakże, stara, chora ciotka ...

Wokół nich zaczął pęcznić krąg ciekawskich żołnierzy i przechodniów. Nie wiadomo jakby się to wszystko skończyło, gdyby nie dość ostra interwencja przechodzącego oficera, który wyraźnie niezadowolony ze zbiegowiska ostro zbeształ zgromadzonych gapiów i dowódcę patrolu. Speszeni żandarmi pospiesznie zwrócili chłopcom dokumenty, po czym szybko wskoczyli do wozu i odjechali. Niestety cała czwórka, mimo forsownego biegu spóźniła się na ostatnią przedakcyjną odprawę u Witolda na Sadybie. Nie ominęła ich z tego powodu solidna reprimenda dowódcy grupy.

\* \* \*

Jak zwykle wieczorem, a szczególnie w niedzielę, tramwaj był solidnie przepełniony. Każdy spieszył, by zdążyć do domu przed godziną policyjną. Szczególnie pomosty, a nawet zderzaki i stopnie były szczelnie zapchane młodzieżą. Aczkolwiek był już koniec września, jednak prawie wszyscy, jakby hołdując jakiejś niezwyklej modzie, ubrani byli w luźne płaszcze, a część w długie buty, za to wszyscy z gołymi głowami i rozczochranymi włosami. Niektórzy dźwigali pod pachą niezgrabne zawiniątka i paczki dziwacznych kształtów. Jedni rozmawiali, inni nieznacznie, ale bacznie obserwowali trasę. Im bardziej ubywało przygodnych pasażerów, tym bardziej eksponowaną stawała się ta właśnie grupa młodzieży. W granatowym, przyćmionym świetle tramwaju, coraz więcej życzliwych spojrzeń i ukradkowych uśmiezków kierowało się ku tajemniczej grupie.

Na Sadybie, na pętli trzeba było się przesiadać do „W”, który to wóz kursował dość rzadko. Nic więc dziwnego, że na przystanku zgromadziła się nowa czereda chłopców. Większość z nich, maskując dość osobliwą o tej porze majówkę, rozsiadła się na przydrożnej. Mocno zrudziałej i wyleniałej trawce. Wysmukła sylwetka Andrzeja Morro dowódcy pierwszego plutonu „Sad” drugiej kompanii „Rudy”, rzucała się już z daleka w oczy. Niezwykle jasne włosy i chłopięca uroda przyciągała mimo woli oczy przechodniów.

Spacerował on wzdłuż pętli tramwajowej, troskliwie, ale nieznacznie spoglądając na chłopców. Część pierwszej kompanii „Felek” pojechała już dalej: sekcja „lotników” wraz z dowódcą plutonu, Antkiem, wysiadła z tramwaju i wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenia ruszyła w stronę nadjeżdżającego wozu „W”. Tymczasem reszta najzupełniej ignorowała oczekujący tramwaj, zerkając jedynie na Andrzeja Morro.

Brzęknęły dzwonki, wóz ruszał, kiedy raptem rozległ się donośny głos Andrzeja Morro: - Wsiadać !”

Wspomnienia ukazały się w tygodniku Stolica” – 1957 r., nr 24, 25 i 26